



**DWUTYGODNIK**  
**SOKOLEJ MŁODZIEŻY SKAUTOWEJ.**  
**PISMO URZĘDOWE**  
**ZWIĄZKOWEGO NACZELNICTWA SKAUTOWEGO.**

Cena pojedynczego numeru 30 h. —  
 30 fen. Prenumerata roczna  
 6 koron.

Wychodził **1 i 15** każdego miesiąca.  
 A dres redakcji i administracji:  
**Lwów, ul. Sokoła 7.**

Prenumerować można **tylko**  
 wprost w administracji (pieniądze  
 przekazem lub osobiście).

Dr X. F.

## Generacyami.

Wiek XX. nazwano, jak wiadomo, wiekiem dziecka. Nie stało się to oczywiście bez ważnego powodu. Owszem, jest to naturalnem następstwem podniesienia i pogłębienia idei narodowościowej, traktowanej tak poważnie i trzeźwo, że aż matematycznie.

Zaglądnęto bowiem do statystyki, której daty stały się obecnie tak ważnemi wskazówkami dla wszelkich objawów każdej pracy, zwłaszcza zaś pracy społecznej, iż bez tych dat rozpoczynanie jakiegokolwiek pracy poważnej równałoby się rozpoczynaniu budowy — na wydmach piaszczystych.

Obliczono tedy najważniejszy kapitał narodowy, to jest sumę ludności. Stwierdzono w przybliżeniu, że na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej mieszka 20 milionów Polaków. Obliczenie cyfry rzeczywistej, a nie przybliżonej usprawiedliwiają stosunki, w jakich żyć musimy. Nie przeprowadzamy spisów urzędowych sami, więc też nie możemy mieć wpływu na ich dokładność.

Musimy tedy przyjąć owe 20 milionów jako pewnik. Ponieważ na tę sumę ogólną składa się suma mężczyzn, kobiet i dzieci, obliczono, kategoryzując całą ludność według pewnych granic lat życia, że: na dziatwę do 10 lat, a więc na taką, która winna lub będzie uczyć się do szkół początkowych, przypada 28<sup>0</sup>/<sub>100</sub>

czyli . . . . .	5,600.000 głów
na dziatwę od 11 do 14 lat (kontyngent niższych szkół średnich) 10 <sup>0</sup> / <sub>100</sub>	
czyli . . . . .	2,000.000 „
na młodzież od 15 do 18 lat (kontyngent wyż- szych szkół średnich) 9 <sup>0</sup> / <sub>100</sub> czyli . . . . .	1,800.000 „
na młodzież od 19 do 25 lat (kontyngent szkół głównych 11 <sup>0</sup> / <sub>100</sub> czyli . . . . .	2,200.000 „
na początkujących samo- istnych pracowników (26 — 35 lat) 14 <sup>0</sup> / <sub>100</sub> czyli . . . . .	2,800.000 „
Do przeniesienia . . .	14,400.000 głów



Z przeniesienia	14,400.000	głów
na ludzi od 36 do 60 lat		
23% czyli	4,600.000	„
wreszcie na starszych		
(wyżej 60 l.) 5% czyli	1,000.000	„
Razem	20,000.000	głów

Cóż mówią te cyfry, powiedzmy z góry, bardzo poważne? Ażeby zrozumieć ich mowę i wymowę, musimy przypatrzeć się im ze stanowiska — pracy (każdej, byle uczciwej), do której przecie wszyscy, bez wyjątku, o ile nie mamy smutnej odwagi nazywać się pasożytami, — bezwzględnie jesteśmy obowiązani.

Z tego stanowiska patrząc, musimy stwierdzić, że cała ludność polska (zarówno, jak każda inna) składa się z trzech generacji:

Z najstarszej (wyżej 60 lat życia), która częściowo już spełniła, częściowo kończy spełniać swe zadanie w granicach zdolności, sił i zdrowia;

ze średniej (od 26 do 60 lat życia), która właśnie stoi w pełnym ruchu przy warstacie pracy obowiązkowej, a zużywszy się w okresie zakreślonym zasobami zdolności, sił i zdrowia zajmie kolejno — licząc od najstarszych — miejsce generacji najstarszej, która tymczasem całkiem ustąpi;

wreszcie z najmłodszej (od 0 do 25 lat życia), która kolejno przysposabia się do złuzowania przy warsztacie pracy społecznej generacji dziś średniej, ażeby znowu kiedyś podzielić losy swoich poprzedników.

Otóż ta trzecia generacja — dziatwy polskiej (przepraszam tych dorastających, którym się już wąs zasiewa, ale statystyka bywa bezwzględna), licząca łącznie 11,600.000 głów, zbyt jest liczną, ażeby wiek, w którym zastanowiono się nad nią poważnie, bo ze stanowiska pracy narodowej i w dalszej konsekwencji postanowiono zająć się nią z troskliwością dobrych gospodarzy, nie miał od niej otrzymać swej nazwy.

Ale tu zaraz potrzeba głośnego zastrzeżenia, ażeby z góry wykazać bezpodstawność pretensyi — niestety, objawiającej się zbyt wyraźnie — do jakiegoś wielkiego mniemania o sobie tej generacji — najmłodszej. Nazwano wiek nasz wiekiem dziecka, nie dlatego, jakoby chciano roztkliwiać się nad małym człowiekiem, lecz dlatego, że chciano dać wyraz ogólnej trosce o przyszłego dojrzałego człowieka-pracownika, a więc o nadzieję całego społeczeństwa związanego we wielki organizm

narodowy kitem wspólnych wszystkim nam ideałów.

Odkąd stało się powszechnym pewnikiem, że każdy członek tego wielkiego organizmu jest lub będzie jego pracownikiem, odtąd nie może i nie powinien mu być obojętnym los choćby najdrobniejszej istoty ludzkiej. Ale nie znaczy to bynajmniej, jakoby ta mała istota stała się, sama dla siebie, jakąś wyjątkową wielkością w ustroju narodowym, przed którą ma usuwać się w cień każda praca, każda powaga, każda zasługa. Mała ta istota jest tylko związkiem, z którego wykiełkuje kiedyś, przy dobrej jej ochocie i woli, a przy pomocy rodziców, szkoły i organizacji mających na celu jej dobro, materiał na rzetelnego pracownika, na poważnego człowieka, na zaśluzonego obywatela.

Wolno tej istocie radować się i mieć przeświadczenie, że jest benjaminkiem społeczeństwa, ale nie wolno jej zmieniać się w jego — *enfant terrible!* Uczyć się, przygotowywać się do swej przyszłej pracy i czekać swej kolei — oto, co wynika dla niej z tego uznania jej ważności!

Co więcej, powinna usilnie dążyć do tego, ażeby jej praca, skoro ją podejmie, była lepsza i wydatniejsza, aniżeli praca — poprzedników. Ale i w tem także nie wolno jej szukać podstawy do przeceniania swej wartości. Bo nie będzie w tem ani jej wyższości od poprzedników, ani zasługi, lecz będzie tylko prosty obowiązek torowania drogi — postępowi.

Każda generacja przejmuje od swej poprzedniczki tkwiące w duchu narodu myśli, poglądy, zasady, nadzieje, ideały i każda ma obowiązek pogłębić je, utrwalić, rozszerzyć, wzmocnić i uszlachetnić, i przekazać je swej następczyni z takim samym, jaki otrzymała, przekazem. Taki to naturalny warunek rozwoju i postępu narodu, takie to nieublagane prawo odradzania się i doskonalenia tego, co jest, w tem co być powinno, iż gdyby inaczej było, musiałoby być — źle.

W tem, i tylko w tem rozumieniu nawiązuje się was, skautów, do pracy, oczywiście w pierwszym rzędzie do pracy — nad sobą. Bo tylko należycie przysposobieni na wewnątrz, możecie stanąć do pracy społecznej z dobrym dla postępu i dla kultury polskiej wynikiem.

A w czasach takich, jak dzisiejsze, może łatwo wydarzyć się, że do tej pracy starszych pomiędzy wami powoła się przed upływem normalnej kolei.

Odłogiem leży tyle pól tej pracy. Zawody wyzwolone, przemysł, rękodzieła, handel, gospodarstwo rolne, ogrodnicze, leśne itp., a wreszcie troska o najmłodszych (od 0 do 14 lat) — jakież to rozległe i wdzięczne pole pracy dla dzisiejszych skautów i skautek!

## Opowieści skautowe.

### „Skaut miłuje przyrodę“...

..... Dindilin, dindilin — zabrzmiał dzwonek i uczniowie poczęli wybiegać na dziedziniec.

Wkrótce zrobiło się na nim gwarno i rojno. Jedni biegali, inni gimnastykowali się, a jeszcze inni przechadzali się i żywo o czymś rozprawiali. Do tych ostatnich należeli dwaj skauci.

— Jakżeś spędził święta — zaczął jeden z nich, któremu było na imię Stefek.

— Wspaniale! — odpowiedział drugi, Zbyszek — przez cały czas polowałem. Zabiłem kilkanaście ślicznych ptaszków i... no zgadnij co?

— Chm! może srokę, wronę?

— Zająca — zawołał z tryumfem Zbyszek.

— Co... o... o?

— Zająca, zająca, prawdziwego zająca — zawołał z dumą.

— Człowieku czyś ty zmysły postradał? Teraz na wiosnę polować na zające?

— A cóż to szkodzi?

— I to skaut tak się pyta? To ty nie wiesz, że na zające poluje się w jesieni, w zimie, ale nie na wiosnę, kiedy się rozmnażają? To jest nawet surowo wzbronione i gdyby się dowiedziano o tem...

— To co?

— Zostałbyś ukarany!

— Ja? ależ chyba na swojej ziemi wolno mi robić co mi się podoba?

— Niekoniecznie! Nawet właściciele ziemi muszą się stosować do przepisów, które obowiązują wszystkich. A zresztą najważniejsze jest to, że wykroczyłeś przeciw prawu skautowemu!

— A ty niby nie polujesz? Sam mi przecież mówiłeś...

— Nie przeczę temu!

— Aha! przyganiał kociół garnkowi, a sam smoli.

— Wcaie nie, a najlepszym dowodem na to jest zwierzyna...

— Którą upolowałem — zaśmiał się Zbyszek.

— Tak jest zaraz ci ją pokażę — odpowiedział Stefek i sięgnął ręką do kieszeni.

— Co w kieszeni masz zająca?

— I jeszcze coś więcej!

— Zwaryował!

— I to nie! O patrz — to mówiąc pokazał mu cały szereg fotografii z życia zwierząt. — Tu masz grupę bawiących się zajęcy. Czy widziałeś coś podobnego?

— Rzeczywiście, ogromnie oryginalna scena.

— A ta, grupa ptaszków?

— Prześliczna!

— A ta sarna!... udało mi się podejść do niej na parę kroków zaledwie. Byłem tak zachwycony tem, że zapomniałem całkiem o aparacie i dopiero w ostatniej chwili, kiedy mnie już zobaczyła, zrobiłem migawkowe zdjęcie. A tu masz także fotografię sarny, ale pasącej się swobodnie. Porównaj te dwa zdjęcia.

— Wiesz ty co? Dzisiaj sprzedaję flobert i kupuję aparat fotograficzny. Nauczysz mnie fotografować?

— Z miłą chęcią! Możemy nawet dzisiaj rozpocząć naukę...

— Dindilin, dindilin — dało się słyszeć znowu i przerwa skończyła się.

— A więc, kiedy zobaczymy się — zapytał Zbyszek.

— O której wychodzie?

— O pierwszej!

— To poczekaj na mnie przy bramie.

Godzina pierwsza wybiła i uczniowie poczęli wychodzić ze szkoły. Zbyszek wyszedł razem ze Stefkim.

— Pokaż mi resztę fotografii, nie zdążyłem oglądnąć wszystkich — zaczął Zbyszek.

— I owszem — odpowiedział Stefek, a wyjąwszy zdjęcia począł je objaśniać. — Tu mam jeszcze kilka zdjęć bardzo ładnych; O n. p. kukułka. Kosztowało mnie to bardzo wiele czasu i trudu, nim zdołałem ją podejść i zrobić zdjęcie. Uciekała mi ciągle z przed nosa i byłbym jej wcale nie podszedł, gdyby nie jedna rzecz, którą zauważyłem. Oto siadała ona na te same drzewa i to kolejno; gdy spłoszyłem ją z pierwszego, uciekała na drugie, trzecie i t. d., ale wreszcie wracała do pierwszego. Otóż skorzystałem z tego odkrycia, schowałem się w tem miejscu i przeczekawszy całą godzinę, zrobiłem w końcu wspaniałe zdjęcie.

— Ale też wynudziłeś się porządnie!

— Bynajmniej!



— A cóż robiłeś?

— Przyglądałem się życiu mrówek. Było to tak zajmujące, że po dokonaniu zdjęcia, pozostałem w tym miejscu jeszcze przez godzinę. Najpierw ujrzałem rój mrówek, które rozchodziły się w różne strony i znosiły do jednego miejsca igielki świerkowe. Gdy już zebrały sporą kupkę, podzieliły się na dwie części: mniejsza część zbierała dalej, większa zaś zaczęła ku memu najwyższemu zdumieniu ustawiać się w dwuszereg i postępować naprzód. Szły jak regularne wojsko, z tą tylko różnicą, że na przodzie nie szedł nikt ..

— Błaga!...

— Chcesz się o tem przekonać, to zbliż się bardziej do przyrody, badaj ją, a ujrysz jeszcze większe cuda. Zresztą wiesz przecie, że nie kłamię ..

— No wierzę ci, wierzę, tylko opowiadaj dalej, bo to jest rzeczywiście ciekawe.

— Dwuszereg zrazu zwarty, począł się rozluźniać, odstępy między dwójkami stawały się coraz większe, aż wreszcie wszystko zatrzymało się. Mimowoli spojrzałem naprzód i ujrzałem w odległości jakich trzech kroków od pierwszej dwójki, budujące się właśnie mrowisko. Tuż obok zaczętej budowy, leżała zmniejszająca się ciągle kupka cegiełek, niby stos cegieł przy budowie domu. W tem jakby na dany znak, wysunął się ze strony mrowiska nowy oddział i w tym samym szyku począł postępować ku pierwszemu. Gdy zbliżył się do niego na odległość jakich dwóch centymetrów, zatrzymał się także... ale ja muszę cię pożegnać — przerwał opowiadanie — gdyż drogi nasze rozchodzą się.

— To ja cię odprowadzę, tylko kończ tę ciekawą historję.

— Więc chodźmy na lewo. Teraz dopiero — ciągnął dalej — zrozumiałem o co chodziło, ujrzałem bowiem jak jedna mrówka zaczęła podawać drugiej igielki, zupełnie tak jak to czynią teraz żołnierze nad Wisłą przy przenoszeniu chleba z traw do wagonów.

— Zdumiewające! — krzyknął Zbyszek.

— Tak, przyroda...

— Oho! Młodzieńcy o przyrodzie rozprawiają — zawołał jakiś głos tuż za nimi.

Chłopcy ogłdnęli się i ujrzeli tuż za sobą profesora historyi naturalnej.

— Pięknie, pięknie — mówił ten ostatni klepiąc ich po ramionach — rzadkie to jest zjawisko dzisiaj, żeby uczniowie rozprawiali o przerodzie.

Chłopcy usłyszawszy ostatni wyraz, spojrzeli ze zdziwieniem na profesora.

— Aha! Dziwicie się, że nie mówię przyroda, lecz przeroada. Otóż wiedziecie, że w przeroadzie nic nie przyrasta, natomiast wszystko się przeroadza, ta nazwa jest więc odpowiedniejsza, logiczniejsza! Ale à propos, o czemże to rozprawialiście?

Stefek opowiedział całą historję, a gdy skończył, profesor pokiwał głową parę razy, mruknął coś pod nosem i rzekł w końcu:

— No, no, no. To mi się podoba. Po raz pierwszy spotykam uczniów, którzy rozumnie zabrali się do poznawania przeroady. Najczęściej bywa tak, że uczniowie zaczynają od gromadzenia okazów, a kończą na porzucaniu niedokończonych prac. Niezupełny zbiór jest tylko zabawką, a nie pracą naukową. Takie postępowanie jest karygodne, bo nie wolno dla zabawki zabijać zwierząt, ani też niszczyć drzew i roślin. Wy zabraliście się rozumnie do tego poznawania przeroady, bo powtarzam, nie polega ono na zbieraniu okazów, ale na wtajemniczaniu się w życie zwierząt wielkich i najdrobniejszych, na zaznajamianiu się nie tylko z rodzajami roślin, ale też z ich zastosowaniem i użytecznością. I pod tym względem niema między naszą młodzieżą należytego zrozumienia. Uczniowie zbierają rośliny, ale nigdy nie troszczą się o to, czy mają one jakie zastosowanie w lecznictwie, czy w przemyśle. Jest wiele roślin znanych z wyglądu i nazwy, a zupełnie nieznanych z ich zastosowania lekarskiego. Czy wiecie, że ten rumianek, ta babka, po której codziennie chodzicie, te bławatki, które bezmyślnie zrywacie, są roślinami lekarskimi, mającemi wielkie zastosowanie?

— Tak jest! wiemy o tem panie profesorze — zawołał Stefek — a wiemy i to, że rośliny lekarskie, które możnaby u nas zebrać, sprowadza się z zagranicy, rok rocznie za setki tysięcy koron. Jest to wielkim wstydem dla nas, że przyczyniamy się w ten sposób do zubożenia naszego kraju ojczystego. To właśnie zrozumieliśmy i zabraliśmy się do pracy. Co niedzielę urządzamy wycieczki, na których zbieramy rośliny lekarskie w większych ilościach, następnie suszymy je i sprzedajemy aptekom. Równocześnie założyliśmy ogródek, w którym uprawiamy rośliny lekarskie najróżniejszych rodzajów.

— A skąd wzięliście nasiona — zapytał profesor.

— Z nasionami nie mieliśmy nic do czynienia, bo po prostu przesadzaliśmy rośliny dziko rosnące.

— Oto moje uznanie — zawołał nagle profesor, wyciągając rękę do chłopców — Jesteście dzielnymi młodzieńcami. Przyjdźcie dzisiaj do mnie wieczorem, to pomówimy obszerniej, a teraz bądźcie zdrowi.

— Wiesz co mi przyszło do głowy — zawołał Zbyszek po odejściu profesora.

— Cóż takiego?

— Żeby kupić kilkanaście doniczek, przesadzić do nich parę rodzajów roślin leśnych i umieścić je z odpowiednimi napisami w izbie skautowej.

— Wspaniały pomysł. Dzisiaj jest rada drużyny, musisz więc go podnieść na niej, a teraz Czuwaj!

— Czuwaj!

*Romuald Kawalec.*

## Powieść Wajdeloty.

Obrazek z życia skautowego.

Skąd to skauci wracali? Z nocnej wracali wycieczki, Nieśli tupy hogate w lasach i polach zdobyte: Roślin różne rodzaje i piękne swojskie kamienie. Kilku braciów z ćwiczenia ze spuszczoneymi nosami, Bez swych lasek skautowych idzie wśród dziełnych zwycięzców. Poglądają ku lasom i ach! wzdychają żałośnie, Poglądają na młasto i ołizują się głośno. W młescie bowiem pośrodku stoi budynek „Sokoła”, Czeką tam na nich sute i przewyborne śniadanie Po całonocnych ćwiczeniach. Ale nie wszyscy „wrogowie” Dzisiaj zostali schwytani. Część ich uszła tajemnie. Dwaj harcerze pojmani idą spokojnie do miasta Jeden młody i piękny, drugi dojrzalszy już prawie. Oni sami w zasadzce zastęp własny rzuciliwszy Poszli ku nieprzyjaciołom; przyjął ich drużynowy Aie strażą otoczył, w obóz za sobą prowadził. Pyta z jakiej drużyny, w jakich zamlarach przybyli. „Nie wiem, rzecze młodzieniec, jakie u was zwyczaję, „Ale w naszej drużynie tak nas zawsze uczono, „Aby nigdy nie zdradzać tajemnic swych towarzyszy. „Tak też i my nie możemy nic wam zupełnie powiedzieć, „Głosicie się tylko, że nas teraz trzymacie w niewoli”. Uznał to drużynowy, więcej ich pytać zabronił, Swoim zato nakazał, aby w pochodzie do miasta Szli wesóło z pieśniami, prawdziwie po skautowemu. Maszerowali więc skauci z pieśnią, żartami i śmiechem Jak na skantów przystało. Nawet jeńcy zabranii Zwolna zaczęli żartować (bo skaut zawsze wesóło) Tylko owi dwaj bracia uważnie ciągle patrzyli I baczyli na wszystko, co wokół się działo. Dzień już zaczął nastawać, lekki mrak się rozpoezał. Wtedy jeden ze skautów wziętych dzisiaj w niewolę Zbliżył się do młodego i rzekł mu po przyjacielsku:

„Cóż to znowu, że obaj Idziecie jak na skazanie?  
„Czyż nie czujesz już tutaj młęgo zapachu kawusi  
„Przyrządzonej na nasze przybycie. Doprawdy  
„Wolę być wzięty w niewolę, niż jeszcze tłuc się po lasach”.  
Na to rzekł mu młodzieniec: „Wstydy mi za was fujały,  
„Ale nie bójcie się, cało wyjdziecie z tej sprawy;  
„Lecz pamiętajcie na przyszłość nie dajcie brać się w niewolę”.  
Więcej skaut już nie pytał, wstydy go ogarnął ogromny.  
Tuż pod samem już miastem weszli w lasy iłściasty.  
Nagle ozwało się z lasu głośne wołanie sowy;  
Skauci zaczęli udawać mniej lub więcej udatnie  
Głos usłyszany. Wtedy starszy z dwóch skautów schwytanych  
Podniósł ręce do ust, trzykrotnie głośno zahukał  
Tak, że wszyscy myśleli, iż mają sowę wśród siebie.  
Nagle drużyna stanęła: Oto młodszy niewolnik  
Zasłał nagle na drodze. Usunął się na kolaua  
I nihy bez przytomności głośno zawołał: „Złórką!”  
Na to hasło strażę, co zawsze strzegą drużyny  
Przybleżały na miejsce sądząc, że woła komendant.  
Ale nikt na to nie zważał, wszyscy byli zajęci  
Otrzeźwianiem kolegi, co teraz leżał omdlały.  
Nagle on zerwał się z ziemi głośno do lasu wołając:  
„Mej! Do ataku! Naprzód!” Wszyscy stanęli zdziwieni.  
A wtem głośny krzyk hnrra! zabrzmiał z boków i wkrótce  
Wszyscy skauci na drodze ujrzeni się otoczeni.  
Co za zgroza! Zwycięzcy, teraz znów zwyciężeni!  
Zmienne walki koleje. Schwytani idą do młasta.  
Zapomnieli, że pierwszym hasłem skauta jest „Czuwaj!”  
Poszli drogą ku młastu, dotąd nic o nich nie słychać.

Biada! Biada! Jeśli dohrze się wstydy najedli,  
Jeśli przed przełożonym swym do raportu stanąwszy...  
Przyszłość resztę pokaże. Skauci skończyłem piosenkę.

*Drohobyczanin.*

Stefan Kuta.

## Wspomnienia z Tatr.

### Okrężna wycieczka do Morskiego Oka.

(Dokończenie).

Na scenie tej ukazały się ozłoczone prześlicznie promieniami słońca szczyty gór,

w cieniach dolin wiły się złote potoki, a na lśniącej brylantowo hali pasły się trzody owiec, podobne do maleńkich srebrnych kamyków, rozrzuconych po zieleni złocistej.

Zapadła jednak niebawem zasłona ze mgły i zniknął cudny obraz, a po kilkunastu minutach daremno wyczekiwania



pogody, Emil nakazał schodzić ku dolinie Pięciu Stawów. Ścieżka ta prowadzi nad urwiskiem lub zboczem tegoż, a przejście ułatwiają klamry i łańcuch. Kilka razy stawałem i oglądałem się poza siebie, by widzieć schodzących za mną skautów. Jakieś dwie młode panie na brzuchach ciągnęły się od klamry do klamry w miejscu, gdzie ścieżka tworzy nagły i gładki spad ponad przepaścią.

W kilkanaście minut byliśmy w dolinie Pięciu Stawów. Dolina ta tworzy kotlinę zamkniętą od pldn.-zachodu grzbieciem Miedzianego, a od północy pasmem Tatr polskich od Świnicy po Kozi Wierch. Dolina robi na człowieku ponure wrażenie; martwota i jednostajność cechują ją przede wszystkim. Ścieżka, którą łatwo zgubić można, prowadzi pośród rozspanych głazów, zlewających się w jedną ponurą całość.

Największym ze stawów jest Wielki Staw (1669 m.) liczący 34.84 ha powierzchni, a 78 m. głębokości. Staw ten jest największym i najgłębszym ze wszystkich wogóle jezior tatrzańskich. Patrząc nań można sobie stworzyć obraz morza. Z jednego brzegu patrząc gubi się przeciwny, który się zaledwie rysuje. Powierzchnia stawu, barwy ciemno-szafirowej marszczy się i prostuje ustawicznie.

Na wschód od Wielkiego Stawu leży Przedni Staw (7.7 ha pow., 30 m. głębokości), między obydwoima zaś Mały Staw. Dalej ku zachodowi leży Czarny Staw (1724 m.), o powierzchni 13.05 ha, głębokości 37 m. Najwyżej położonym jest Zadni Staw (1890 m.), który widocznym jest tylko od zachodu i północy, gdyż od wschodu zakrywa go Turnia Kołowa.

Nad Małym Stawem znajduje się schronisko T. T. Tu złożyliśmy swe plecaki i spuściliśmy się ku wodospadowi Siklawie, wysokości około 70 m.

Z głazu sterczącego naprzeciw najgwałtowniejszego spadu obserwowaliśmy tę walkę żywiołów — rozszalałej i wściekłej wody przeciw niewzruszonym kolosom granitowym. Rozpylona w walce woda zwilżała nam twarze, spienione, mleczne kłęby przeistaczały się pod naszymi nogami w zwykłą wodę, tu jeszcze ciskając się i bijąc zaciekłe.

Chwilę przesiedzieliśmy tak, zapatrzeni w walkę, poczem wróciliśmy do schroniska, posililiśmy się i połączywszy się ze Stefanem i Zygmuntem poczęliśmy wchodzić na Świstówkę ścieżką już wygodną.

Ze Świstówki weszliśmy na Opalone, skąd rozlega się obszerny i piękny widok na Czarny Staw, Morskie Oko i otaczające szczyty.

Patrząc stąd na Morskie Oko i Czarny Staw odnosiłem wrażenie, jak gdyby oba te jeziora jedną tworzyły całość, przedzieloną w pośrodku zastawką, przyczem po jednej stronie zastawki nierównie więcej było wody, niż po drugiej. I dziwiłem się, że ta masa wody wyżej położonej nie przeleje się nagle do części niżej położonej.

Już pod wieczór stanęliśmy nad brzegiem Morskiego Oka. Goście tutejsi życzliwi rozkoszy w jeździe łodzią motorową po toni M. Oka. Na pozór powierzchnia M. Oka nie była tak wielką. Wnioskując jednak ze zmniejszania się w oczach moich łodzi, przedstawiłem sobie jego wielkość. Powierzchnia M. Oka, wynosi 33 ha, głębokość 53.5 m. Jestto co do wielkości trzecie, a co do głębokości czwarte jezioro w Tatrach. Położone jest na wysokości 1393. Wokół jego brzegów rośnie koso-drzewina i limba.

Zajęliśmy miejsca w kolibie, położonej po zachodniej stronie Rybiego Potoku; koliba to niezupełna, rozleciała po części. Ściany jej składają się z kamieni, tworzących między sobą potężne szczeliny, przez które świszcze wiatr. Niema tu żadnych odrzwi. Trzy stopy głazów — to nasza koliba. We wnętrzu jej mnóstwo było nieczystości. Wyprzątnąwszy wszystko należycie usłaliśmy sobie łoże ze mehu i kiści kosodrzewiny.

Przed kolibą roznieciliśmy ognisko, nad którym zawisnął kocioł z zupą. Była to zupa niezwykła; składała się mianowicie z rozmaitych zup jak: grochowej, jarzynowej, grzybowej, rosółowej, pomidorowej i innych. Słowem, jaką kto miał zupę, taką pakował do kotła.

Okolo godziny 10-tej wieczorem zawitali do nas goście ze schroniska, zważeni ochoczym ogniem, jaki ciągle utrzymywaliśmy. Zasypywali nas pytaniami co do rozwoju skautingu, chwalili naszą wytrzymałość, w końcu zaglądnęli do kotła i — uciekli. Niewiem, czy im nasza zupa o kolacyi przypomniła, czy też kazała o teże zapomnieć.

Władek, Stefan i Zygmunt, jako słabsi i mniej na zimno odporni poszli spać do schroniska.

Emil rozdzielił strażę; na mnie przypadła pierwsza straż; ochotnym kompanionem moim został Janek.

Koledzy posnęli, Janek się oddalił. Podnieciłem ognisko, usiadłem obok i wpa-trzyłem się w otoczenie. Dziwny, melan-cholijny nastrój ogarnął mą duszę. Siedzę i dumam...

Szafirową toń Morskiego Oka przeciął krwawy pas i długi, wciskając się coraz to głębiej we wnętrze fal groźny, aż te pierzchnęły lękliwe, drżąc konwulsyjnie.

To nasz żwawy ogień świeci tak po-tężnie, zuchwale spogląda wokoło siebie.

Czarny Staw wśród głuszy głos po-dnosi i potokiem śle tysiące posłańców, któ-rzy zrazu szepeczą coś, a im bliżej mnie, potężnieją, szumią, jęczą, wyją... Zdaje mi się, że z szumem tym prą ku mnie nieme żale jakieś i narzekania gór i gła-zów... I cała martwota poczyną żyć, ru-szać się, mówić... Czarne fale jeziora ła-szą się u mych stóp... W górze księżyc wyszczerzywszy zęby z za Mięgusza śmieje się z czegoś... Mięgusz, jakby dla doda-nia sobie powagi z białej chmurki brodę sobie przyprawił i powiewa nią poważnie, aż księżyc flirtowniś w jej włosy się wplą-tał, potargał i puścił swawolny...

— Ognisko gaśnie — zwraca mi uwagę Janek, a uwaga ta ocknęła mię z zadumań.

Koledzy spali w otwartej kolibie. Ja-nek kawę miał gotową i gorącą. Ognisko podnieciłem kilkoma gałęzmi kosówki, po-czem zmieniliśmy straż. Usnąłem.

Wcześniej rano, po herbacie, stano-wiącej śniadanie, pociągnęliśmy do Czar-nego Stawu (1584 m.). Staw ten technie dzikością i grozą. Olbrzymie, strome, prze-paściste ściany otaczających go turni spra-wiają, że panuje tu wieczny zmrok, gro-bowa ponurość. Wokół żadnego krzewu, ni trawki nawet. Zielone, omszone tylko głązy kąpią się nieśmiało na skraju brzegów. Krzyż żelazny, umieszczony u wejścia drogi potęguje ten grobowy nastrój.

— Wracamy drogą jezdną do Zakopa-nego — zapowiedział Emil.

Po drodze ustawiliśmy się w dwójki i maszerujemy. Droga ta wynosi 31,3 km.

Forsująca wczorajsza tura, niewyspa-nie i dzisiejszy upał złożyły się na to, że czuliśmy się wszyscy przemęczeni. Zrazu dwójki trzymały się siebie i pełnym kro-kiem sunęliśmy, śpiewając. Oglądnąwszy się jednak za chwilę — nie dostrzegliśmy ostatniej dwójki. Spoglądnęliśmy w dal. Dwóch panów odpoczywało w przydrożnym rowie.

Historia ta z ostatnimi dwójkami powtarzała się w dalszej drodze często.

W końcu sam Emil, jako kierownik wy-cieczki, wyznał mi ze skruczą:

— Zanadto męczącą jest nasza wycie-czka; poprawię się na drugi raz i czas lepiej rozłożę — poczem szepnął mi w ta-jemnicy:

— Senny jestem szalenie, ale czas na-gli. Nie chcę dać złego przykładu i usnąć. Urządźmy sobie oryginalne spanie. Ty pójdziesz, ja się ciebie uczepię i idąc będę spał. Wyśpię się trochę, obudzisz mię, ja wezmę wówczas twoją rolę.

— Zgoda...

Tak idąc i śpiąc zarazem docięgnęli-smy się wreszcie do Zakopanego.

Adam Ciołkosz.

## Sprawności.

### Skaut sygnałista.

Wymagania: Skaut powinien zdać egzamin z wysyłania i odbierania depesz w sygnalizacji semaforycznej i znakami Morsego. Najniższa miara: 24 litery na minutę przy sygnalizacji alfabetem Mor-sego, 36 przy semaforycznej.

Musi umieć wydawać i odczytywać sygnały głosowe; poprawnie dawać sygnały dymem i światłem; pokazać właściwy spo-sób sygnalizowania łaską.

### Wyjaśnienia.

#### 1. Sygnalizacja chorągiewkowa.

A. Użycie chorągiewek sygnalizacyjnych. Sygnalizacja chorą-giewkowa służy do przesyłania krótkich ra-portów i rozkazów, szczególnie w terenie o utrudnionej komunikacji. Przy używaniu chorągiewek sygn. należy uwzględnić stan pogody i oświetlenia. Sygnały chorągiew-kowe są w korzystnych warunkach wido-czne na 3 km. i dalej, przez dobre szkła optyczne na 5 km.

B. Oddział sygnalizacyjny. Do pewnego porozumiewania się są konieczne dwa oddziały sygnalistów. Każdy taki od-dział składa się z komendanta (równocze-cześnie pisarza), jednego skauta, który wysyła znaki (sygnalizatora) i jednego, które je odczytuje (obserwatora). W razie potrzeby komendant może jednocześnie od-czytywać znaki i zapisywać je, a nawet jeden człowiek może stanowić stację sygn. Do egzaminu wymaganiem jest odczytywa-nie i wysyłanie depesz bez obcej pomocy, a więc egzaminowany sam tworzy stację.

C. Uzbrojenie (wyekwipowa-nie) komendanta: bloczek raportowy



w nieprzemakalnej torebce, 2 ołówki, guma; sygnalizatora: 1 kij do chorągiewki (długości około 1 m.), 1 biała, 1 niebieska i 1 żółta chorągiewka, rozmiarów najmniej 60×60 cm. — w torbie (plecaku); obserwatora: tablica znaków; pożądana lornetka, mapa 1:75000.

D. Wyćwiczenie. W każdej drużynie powinno znaleźć się bodaj 2 sygnalistów (egzaminowanych). Podczas ćwiczeń w sygnalizacji komendę oddziałów sygnalizacyjnych mogą obejmować tylko egzaminowani sygnaliści lub wywiadowcy w randze od zastępy patrolowego.

Poszczególni skauci powinni ćwiczyć się w sygnalizowaniu wraz z jakimiś drugimi skautami, gdyż inaczej będą umieli dawać, ale nie potrafią szybko odczytywać depesz.

Ćwiczenia w sygnalizacji polegają na: wyuczeniu się na pamięć alfabetu Morsego i semaforycznego oraz skrótów, wypełnianiu kart raportowych, wyborze chorągiewek lub światła do sygnalizowania.

Wychodzę z założenia, iż każdy kandydat na sygnalistę posiada już oczywiście egzamin wywiadowcy, do którego wymagana jest „znajomość alfabetu Morsego i semaforycznego“. Znaków tych więc podawać nie będę, a podam tylko sposoby, jakimi te znaki utrwalić sobie można w pamięci.

Do nauki alfabetu Morsego służą 3 systemy: obrazkowy, »koordynacyjny«, lub mnemotechniczny.

(1) W książeczce, wydanej przez Wł. Hahorkiewicza p. t. »Znaki Morsego w obrazach« znajdziesz szereg obrazków, odpowiadających wszystkim literom alfabetu. Każdy obrazek wyobraża jakiś przedmiot, którego początkowa litera wyrażona jest przez wplecione w dany rysunek kropki i kreski. Tak np. literze *b*, —..., odpowiada rysunek bilardu, gdzie kreska przedstawiona jest przez kij, zaś 3 kropki przez 3 kule bilardowe. Obrazek tego rodzaju utrwała się doskonale w pamięci na zawsze. Oto wykaz obrazków, które odpowiadają literom alfabetu:

agrest  
bilard  
cepy lub »celuj tak«  
chata  
dragon  
elektr. latarka lub elektr. dzwonek  
fortepian lub flisaki  
gęś lub głowy  
harmonijka

Ignasz, indyjanin lub infanterzysta  
jeść obiad  
krawatka  
lichtarz lub lira  
muchy lub most  
nabój  
ogórek lub osa  
parasol, piekarnia lub polityk  
questarz lub quatera  
rower  
sowa  
trzcinka  
ułan  
vivat  
wał strzelecki lub wiatrak  
Xawerek lub xnogi  
Ypsilon  
zając

(2) Drugi system (kapitana Bauera) polega na uczeniu się znaków grupami liter. W każdej grupie z lewej strony mamy znaki, zaczynające się kropką, z prawej — zaczynające się kreską. Po obu stronach we wszystkich grupach umieszczone są litery o znakach wprost przeciwnych.

• e	} Grupa I.	— t
•• i		— m
••• s		— o
•••• h		— ch
••••• 5		— 0

•— a	} Gr. II.	—• n
•— w		—• d
•— j		—• b
•— 1		—• 6

••— u	} Gr. III.	—• g
••— 2		—• z

••— v	} Gr. IV.	—• 6
••— 3		—• 8
••— 4		—• 9

••• r	} Gr. V.	—• k
••• l		—• y
••• q		—• c
••• p		—• x
••• f		—• q

Inne ugrupowanie:

Litery składające się z samych kropek: *esh*.

Litery składają się z samych kresek: *tmoeh*.

Litery o odwrotnym porządku znaków: *an, bv, du, fl, gw, qy*.

Litery o znakach wręcz przeciwnych: *kr, px, bj*.

Osobne grupy stanowią litery: *e, z*.  
(C. d. n.).